

Porywisty wiatr gwizdał i zawodził jak potępieniec w załamach muru klasztoru św. Jana Teologa na wzgórzu górującym nad Patmos, dokładnie tak, jak zdarzało mu się to robić przez ostatnich dziewięćset lat. Widok potężnej ciemnoszarej budowli w połączeniu z ponurymi dźwiękami potrafił w jednej chwili cofnąć w czasie każdego, kto stawał u bram tego miejsca czczonego przez wszystkie odłamy chrześcijaństwa.

Jednak myśli kobiety, która znajdowała się sto metrów niżej, krążyły wokół problemów całkiem współczesnych. Kilkanaście minut wcześniej odłączyła się od reszty załogi jachtu, którym przyплыnęła na wyspę i stojąc teraz przed wejściem do Groty Apokalipsy żarliwie modliła się do Boga, bezgłośnie powtarzając słowa:

– Panie, zwróć mi wolność...

– Agnieszka! – znajomy głos zaskoczył ją nieprzyjemnie, wywołując mimowolny dreszcz.

Odwróciła się i zobaczyła Marka, swojego męża, oraz osmaganą wiatrem i szczerzącą do niej zęby resztę wesołej jachtowej kompanii: Grażynę, Inez i Rafała. Za nimi powściągliwie uśmiechnięty pojawił się Krzysiek, mążzonek Grażyny.

Ruszyła w stronę towarzyszy, wysłuchując entuzjastycznej opowieści o wizycie w klasztorze i znajdującej się tam nieprawdopodobnej kolekcji manuskryptów.

Miała nadzieję, że załoga „Kalabraci” nie stała za nią zbyt długo i że nikt nie zauważył nietypowego, zdecydowanie zbyt krótkiego różańca, jaki zawiesiła na pobliskim ostrokrzewie. Zrobiła go sama. Zamiast zwykłych pięćdziesięciu dziewięciu paciorków na nitkę nanizła dwadzieścia cztery ciernie.

– Po jednym za każdy rok mojego małżeństwa... – wyszeptwała, wieszając swe wotum.



W tym samym czasie na innej, leżącej około pięćdziesiąt mil morskich na południowy wschód od Patmos wyspie, były kapitan ateńskiej policji, obecnie zaś porucznik, przyglądał się z okna swojego mieszkania oparom unoszącym się z dna krateru wulkanu. Widok ten niezmiennie napełniał go (nieuzasadnionym, jak do niedawna twierdzili naukowcy) niepokojem. Dziś jednak, kiedy dotarły przerażające relacje z całkowicie niespodziewanego wybuchu japońskiego wulkanu Ontake, wiara byłego dochodzeniowca w zapewnienia sejsmologów całkowicie legła w gruzach.

Świadomość, że jego królestwo może spotkać zagłada, nie była wcale miła.

Królestwo, uśmiechnął się ironicznie na dźwięk tego słowa. *Wasilija*¹...

Ale w końcu dlaczego by nie, zapytywał się w myślach. Jestem tu przecież najwyższym stopniem przedstawicielem władzy, no, jeśli nie liczyć dimarchy² i oczywiście archimandryty. Opat klasztoru był oficjalnie tylko hierarchą kościelnym, ale cerkiew stanowiła przecież na wyspach drugą władzę, a często *de facto* pierwszą.

Ze swoimi konkurentami do tronu wyspy Nisyros porucznik Konstandinos Stawropulos żył jednak w pełnej zgodzie. Za dwie godziny mieli się spotkać, jak co sobota, w gronie poszerzonym o lekarza Teodozjosa, który w razie konieczności pełnił też funkcję weterynarza (cięższe przypadki, tak ludzkie, jak zwierzęce, odsyłał do szpitala na Kos), w tawernie „Captain

—
1 Królestwo (*gr.*).

2 Dimarcha (*gr.*), właśc. dimarchos, w miastach greckich odpowiednik burmistrza.

Hook's” Nikotisa Wawrosa na partyjkę biriby³. Policjant wiedział, że i tym razem, poza grą, znajdzie się okazja do porozmawiania o istotnych dla wyspy sprawach – dziś pewnie głównym tematem będzie ten cholerny wulkan.

A potem, jak zwykle, zajmiemy się polityką, rozmyślał, przebierając się w cywilne ubranie.

W sumie miło łechtało jego próżność, że choć zajmował najmniej znaczące stanowisko z całej czwórki, to jednak ze względu na swoje stare znajomości w Atenach był często najlepiej poinformowany o planach i zamiarach władz centralnych względem wyspy. Poza tym, ku swemu zaskoczeniu, uchodził za dobrego gracza i regularnie zajmował pierwsze lub drugie miejsce w klasyfikacji biribowej Dodekanezu.

Jednak nie tylko perspektywa gry i rozmowy cieszyła porucznika. Z wytęsknieniem wyczekiwał chwili, w której zaspokoi jedną ze swoich podstawowych potrzeb, a problemy Nisyros, wulkanu i durnych polityków na parę godzin całkowicie przestaną go interesować.



Oddali wynajęte samochody w wypożyczalni tuż przy porcie. Mężczyźni sprawnie przerzucili na pokład „Kalabaki” zakupy zrobione w miasteczku. Składały się one w dużej mierze z wina i tradycyjnych greckich przystawek, zwłaszcza sera halloumi, który w tym sezonie stał się dla nich prawdziwym odkryciem.

—
3 Grecka odmiana remika.

– Podziękujmy Panu za białe wino w pięciolitrowych kartonach, którym z łaski swojej tak hojnie nas obdarzył. Świetnie mieści się pod gretingami⁴ i nigdy się nie tłucze – radośnie zakrzyknął potwornie zarośnięty, jak przystało na wilka morskiego, Rafał.

Był kapitanem „Kalabraci” – trzydziestosześcioletniej Bavarii⁵, w której trzech kabinach wygodnie mieściło się sześć osób. Jego łódź pływała w rejsach czarterowych po Cykladach i Dodekanezie. Dzięki niewielkim rozmiarom doskonale nadawała się do manewrowania i cumowania w zatłoczonych w sezonie portach, a 63 metry kwadratowe żagla w zupełności wystarczały do sprawnego przemieszczania się między wyspami.

Rzadko kto zwracał się do Rafała po imieniu: znajomi mówili doń Kapsel, bo podobno potrafił otwierać butelkę piwa nawet powieką, a w portach tytułowano go *captain Petensky*, od nieco przekręconego nazwiska, którego zresztą też właściwie nie używał, odkąd ostatecznie porzucił praktykę lekarską i po odziedziczeniu pokaźnego spadku po ojcu – baronie cukrowym z Dolnego Śląska – postanowił zostać rentierem.

Jeszcze przed śmiercią ojca uznał, że odejdzie z zawodu po przepracowaniu dwudziestu lat; nie wiedział tylko, za co nowego miałby się w życiu zabrać – myślał o giełdzie lub grze w pokera na pieniądze. No, ale ojciec Kapsła, którego zresztą ten bardzo kochał, umarł i zostawił synowi pokaźny majątek – przy oszczędnym gospodarowaniu

—
4 Greting – dawniej kratownica na dnie łodzi, statku. Obecnie zwyczajowo drewniana, podnoszona podłoga na jachcie.

5 Marka popularnych jachtów żaglowych produkowanych w Niemczech.

powinien mu wystarczyć na resztę życia, jeśli oczywiście Kapsel co roku nie będzie kupował nowego jachtu.

Sporo żeglował po Morzu Egejskim i w niektórych tamtejszych marinach rozpoznawano już nawet jego twarz, choć głównie dzięki zakupom dużych ilości alkoholu w sklepikach portowych; sprzedawca w porcie na Rodos powiedział mu, że więcej trunków niż załogi polskich jachtów kupowali tylko Rosjanie.

Za trzy miesiące, tuż przed świętami, Kapsel wpłaci na konto Wenidzelosa, swego greckiego partnera, ostatnie cztery tysiące euro i „Kalabraka” stanie się jego wyłączną własnością.



Słońce schowało się już za wzgórze otaczające zatokę i załoga „Kalabraki” szykowała nieśpiesznie kolację. W oczekiwaniu jutrzejszej, prawdziwej uczyty w miejscu znanym tylko nielicznym, postanowili spędzić ten wieczór, wyjadając łódkowe zapasy – pieczywo, sery, pomidory, sałatę, jajka... I oczywiście wysuszając pięciolitrowe ukochane kartony Kapsła.

– Nawet jak na początek października jest dziś wyjątkowo chłodno – skonstatował Marek, wyciągając ze swojego worka marynarskiego dodatkowy polar.

Dobrze, że udało mi się podłączyć prąd, na wypadek gdyby trzeba było w nocy włączać jachtową farelkę, pomyślał. Na co dzień inżynier i szef komórki badawczej w Instytucie Lotniczym, na łódce pełnił funkcję bosmana.

Odkładając resztę ubrań na miejsce, Marek przypomniał sobie wczorajszą kłótnię z żoną.

Niby już o tym oboje zapomnieli, ale cały czas miał poczucie, że coś tu jest nie tak. W jego mózgu uparcie kołatało się pytanie:

– *Czyżby ona...?*

Próbując wyczytać cokolwiek z wyrazu twarzy Agnieszki, przyglądał się żonie przez otwarte drzwi, gdy ta wraz z Inez, długonogą dziewczyną kapitana, ustawiała talerze na stole w mesie.

Kobiety nie zwracały na niego uwagi, a ich rozmowa, z tego, co mógł usłyszeć, koncentrowała się wokół sosu dijon, który miał dodać smaku sałatce przygotowanej przez Krzyśka – maklera jednego z większych polskich banków, na łodzi pierwszego oficera.

Marek odgonił czarne myśli i usiadł za stołem. Właściwie byli tu już wszyscy – poza Grażyną. Ta jak zwykle tkwiła w kajucie pochłonięta doborem odpowiedniej na wieczór kreacji. Z tego powodu nie brała też zazwyczaj udziału w przygotowywaniu posiłków. Na szczęście bez sprzeciwu przyjmowała na siebie późniejsze zmywanie naczyń, co zdaniem pozostałych wyrównywało jej udział w pracach kambuzowych.



Z upływem wieczoru i wina Agnieszka zaczęła się z powrotem pogrążyć w niewesołych rozmyślaniach. Miała wrażenie, że niewidzialna szyba oddziela ją od beztroskich towarzyszy. Wyglądało na to, że nawet jej mąż dobrze się bawi. Słuchając wspominków z poprzednich wypraw żeglarskich, poczuła się nagle obco. W przeciwieństwie do pozostałych biesiadników nie brała udziału w zeszłorocznym rejsie. Popłynął